

Uwolnił nogi, nim pnącza przeistoczyły się w zgłiszczę. Spodnie i buty płonęły. Wokół zrobiło się jasno jak w dzień. Dostrzegł zagubiony nóż. Wielki, solidny rzeźnicki tasak. Smród siarki wdzierał się do nosa, skóra paliła, piekła. Przeturlał się kilka jardów, kopiąc nogami w ziemię. Lekko przygasły. Wrócił, wyrwał płonąca gałąź i niczym pochodnią podpalał wszystko wokół. Złapał nóż i biegł ile sił w nogach. Jedna krwawiła, nogawka na drugiej wciąż się tliła. Co jakiś czas przystawał i podkładał ogień na suchej ściółce.

Berek!

I kiedy zostawił płomienie daleko w tyle, a wszystko wokół zdawało się wyciszyć, wpadł w kolejną frakcję mgły. Przez myśl przemknęło mu, że wszedł za głęboko. Wilgotność powietrza wzrosła na tyle, by Jackiego oblepiła ciepława maź o kwaśnej woni. Trzewia lasu rozpoczynały proces trawienia – wchłonać, przetworzyć, wydalić. A on miotał się niczym mucha, która wpadła do czyichś ust i ten ktoś wcale nie chce jej wypluć. Ten ktoś chce ją połknąć. Ten ktoś chce ją zjeść. Teraz nie piekły go tylko nogi. Teraz piekło go wszystko. Pokryta śluzem skóra lśniła, ubranie także.

Co zrobiłaby mucha, gdyby wpadła ci do gęby, Jackie? Co zrobiłaby, żebyś ją wypluł? Wiesz, co by zrobiła? Nie dałaby ci zasnąć, nie dałaby ci żyć! Nie możesz się zatrzymać, musisz być zawsze w drodze. Musisz pobiec z powrotem w miejsca na skraju gęstwiny. W przełyku sok trawienny powoduje zgagę. Musisz zapolować tam.

*

Zerwał się ciepły wiatr. Nienaturalnie ciepły jak na tak późną porę. Pini również postanowiła pozabijać czas.

– Szukają cię?

– Nikt już nikogo nie szuka. Każdy zajął się czubkiem własnego nosa. Czyż nie cudownie? Czyż tak właśnie nie powinno być?

– A ty szukasz czegoś? – drążyła.

– Sensu.

Poczuła dym. Inny niż ten z palonego obok papierosa. Jakby ktoś coś piekł.

– My chcemy wrócić do Saskatoon po matkę Jackiego. Sprawdzić, czy w ogóle żyje. Jego ojciec, Jack Johnson, utonął w Redberry Lake. Był świetnym pływakiem, złapał skurcz, wpadł w wir, być może dorwał go zawał, nie wiedzą, ciała nie znaleziono do dziś. Jackie nie zdążył go uratować, facet po prostu zniknął mu z oczu. Jakby go pochłonęło. Teraz Jackie panicznie boi się wody, a zarazem ciągle wbrew sobie próbuje pokonać ten lęk. Wskakuje do każdego zbiornika, jaki mijamy po drodze. Ojciec był dla niego wielkim autorytetem, jego słowa traktował jak święte – mówiła nieprzerwanym ciągiem, choć pierwotnie wcale nie chciała się zwierzać. Zawsze uważała to za słabość, nagość, stan wywołujący wstyd. I jak wszystko, co go wywołuje, uzewnętrznianie się miało drugą stronę medalu, granicę, po której równie trudno jest przestać, jak trudno było zacząć. – Została tylko matka, o rodzeństwie nigdy nie wspominała. Całkiem sama pośród... Wiesz, jak jest w Kanadzie? Po pierwsze pięknie, a po drugie wokół

dużo przyrody, zieleni, gór, potoków, drzew... Chcemy ją zabrać z dala od dziczy, najlepiej do dużego miasta. Daleko stamtąd. Daleko stąd.

– Aglomeracje są obecnie pełne ludzi. Nie wiem, co gorsze.

– Od wczorajszego poranka Jackie zabił trzech. Za takie rzeczy zamykano w San Quentin?

Uśmiechnął się i zignorował pytanie.

– Podejrzewam, że zmusiły go okoliczności. W stanie zagrożenia z ludzi wyłazą najgorsze rzeczy. Zalanie betonem dróg nie do końca rozwiązuje wszystkie problemy tego świata, ale trzymam kciuki za słuszność tego założenia. – Puścił oczko. – A ty, Pini, czego szukasz?

– Sprawiedliwości.

– Ambitnie. A konkretnie?

Uchyliła opaskę, ukazując zablizniony oczodół. Upiorność jej urody fascynowała. Gdzieś nad ich głowami przez korony drzew przedzierała się poświata księżyca. Wiatr wprawiał w pulsujący ruch gałęzie, liście, włosy dziewczyny. Plamy z cieni pojawiały się i znikwały, przechodziły przez policzki, brodę, przez nos. Była jak z innego świata. Roztaczała wokół siebie aurę obłędu.

Mógłbym pokochać kształt ciebie, pomyślał.

Charles miał ochotę uklęknąć i poprosić Boga, by las wypłuł truchło Jackiego. Chciał przysypać go ziemią, a z dwóch desek zbić krzyż.

– Konkretnie? Konkretnie człowieka, który mi to zrobił.